

WYDANIE NOWE. POSZERZONE

S
SWIAT

B
BEZ

AGNIESZKA
GRAFF

K
KOB
ET

PŁEĆ W POLSKIM ŻYCIU PUBLICZNYM

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Agnieszka Graff

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Wstęp

Patriarchat, zdziwienie, nadzieja i bunt

Świat bez kobiet kończy dwadzieścia lat. Uświadomiłam to sobie późną jesienią 2020 roku, kilka dni po tym, jak zapadł barbarzyński wyrok niby-Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej. „Myślę, czuję, decyduję”, „Moje ciało to nie trumna”, „Moja macica to nie kaplica”, „Wypierdalać!”, „***** ***”; „Wody odeszły, rodzimy rewolucję”. Gdybym w 2001 wydała na świat nie książkę, lecz córkę, zapewne uczestniczyłybyśmy teraz razem w protestach ulicznych, każda z innym kartonem. Moje ulubione hasło to to, w którym macicę zgrabnie zrymowano z kaplicą.

Czy dwudziestoletni *Świat bez kobiet* ma coś do powiedzenia swoim rówieśnikom i rówieśniczkom – uczestniczkom i uczestnikom obecnych protestów? Nie będę się upierać, że to książka „ponadczasowa” lub „nadal aktualna”. Sądzę, że jest wręcz przeciwnie – stanowi ona wyrazisty dokument swojej epoki. Wtedy okazała się ważna, bo przełamała tabu, nagłośniła coś, co uporczywie starano się wyciszyć. Dziś może być przydatna,

bo pozwala uzyskać dystans. Przeżywamy apogeum procesu, którego wczesną fazę diagnozowałam wtedy. Dwadzieścia lat temu zaczynała się w polskiej sferze publicznej dyskusja o prawach kobiet – a właściwie nijak się zacząć nie mogła, bo wciąż ją przerywano, wyciszano, ośmieszano. Większość zebranych w *Świecie bez kobiet* esejów dotyczy tego właśnie zjawiska – opisują tępy opór, na jaki natrafiała każda i każdy, kto chciał(a) o tych sprawach publicznie debatować. Obowiązywała niezapisana nigdzie, ale w gruncie rzeczy powszechnie znana zasada milczenia. O „tych” sprawach nie należało mówić, w każdym razie nie należało o nich mówić poważnie. Dziś widać, że to nie był przypadek ani przeoczenie. Nie było to też tabu kulturowe towarzyszące kwestiom wstydliwym. Milczenie stanowiło nieodłączną część układu politycznego, jaki powstał po przełomie 1989 roku w Polsce: po upadku komuny budowano nad Wisłą demokrację, owszem, ale z konsekwentnym pominięciem praw kobiet. Niemal całkowity zakaz aborcji wprowadzony w 1993 roku ponad głowami społeczeństwa miał ówczesny porządek społeczny uczynić stabilnym – uznano, że podporą młodej demokracji będzie Kościół katolicki. Jego władza nie podlegała demokratycznym negocjacom.

Wiem, brzmi to jak kombatanckie wspominki. Dziś o prawach kobiet debatują wszyscy. Feminizm jest zjawiskiem masowym, choć osoby popierające feministyczne postulaty, a nawet wychodzące z nimi na ulice, niekoniecznie się za feministki uważają. Po drugiej stronie barykady łatwiej o klarowne identyfikacje. Antyfeminizm – zawsze w zestawie z homofobią, nazywany też walką z „ideologią gender” – stanowi oś nie tylko prawicowego światopoglądu, ale też populistycznej strategii. „Gender” to wróg, przeciw któremu konsoliduje się „naród”. Rządy PiS zafundowały nam prawdziwą jazdę bez trzymanki – nagonka na mniejszości seksualne, zapowiedź wypowiedzenia

europiejskiej *Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej*, kolejne próby wprowadzenia całkowitego zakazu aborcji... W odpowiedzi powstał potężny, masowy ruch kobiecy zdolny wyprowadzić na ulice setki tysięcy osób. Nazwiska Marty Lempart i Klementyny Suchanow zna dziś w Polsce każdy i każda. Możemy nie mieć wielkiej nadziei na zmianę władzy ani na odzyskanie choćby części naszych praw – nie żyjemy już w młodej demokracji, ale w systemie, który w szybkim tempie zmierza ku autorytaryzmowi – ale nikt dziś serio nie powie, że kwestia aborcji to temat „zastępczy”, politycznie nieistotny. Nikt nie ośmieli się zaprzeczyć randze praw kobiet w debacie publicznej. Ten temat jest kluczowy – teraz wiedzą o tym wszystkie strony sporu. Warto sobie jednak uświadomić, jak długo i w jaki sposób spychano go na margines i jaki to ma związek z autorytarnym zwrotem ostatnich lat. Dokładnie to samo dotyczy praw LGBT+, chociaż ten drugi spór wyłonił się jako oś politycznych podziałów kilka lat później niż kwestia aborcji.

„Demokracja bez kobiet to pół demokracji” – tak brzmiało jedno z haseł pierwszej warszawskiej Manify zorganizowanej w 2000 roku w reakcji na doniesienia o najściu policji na gabinet ginekologiczny w Lublińcu. Mówiło się wtedy, że kobietę przewieziono na przymusowe badania ginekologiczne w celu „zabezpieczenia dowodów”. Pamiętam swoją reakcję na te doniesienia – poczucie grozy, upokorzenia, bezsilności. Impuls, że coś trzeba zrobić – teraz, natychmiast. Domyślam się, że coś podobnego czują młode kobiety, czytając uzasadnienie wyroku z 22 października 2020 roku czy słuchając wypowiedzi Kai Godek i przedstawicieli Ordo Iuris w mediach.

Nowe prawo jest niebywale okrutne. Uderzy w konkretne kobiety, pozbawiając je opieki medycznej, skazując je na niewyobrażalne cierpienie, powodując traumy. Jeśli utrzyma się

w mocy i będzie egzekwowane – zapewne usłyszymy o przypadkach śmiertelnych. Ale to prawo nie wzięło się znikąd. Jest konsekwencją dużo dłuższej historii, którą warto mieć w pamięci. Wyrok TK jest jak kropka nad „i”, ostateczne przypieczerowanie politycznej władzy Kościoła katolickiego w Polsce. Świetnie podsumował to w żarcie rysunkowym Emil Strzelecki: obradujący Trybunał ogłasza, że „postanowił uznać Konstytucję RP za niezgodną z Pismem Świętym”.

Tym razem nikt nie próbuje nawet udawać, że ta decyzja odzwierciedla intuicje moralne większości społeczeństwa, że bierze pod uwagę dobro czy choćby bezpieczeństwo osób, których ma dotyczyć. Resztki praw reprodukcyjnych odebrano kobietom przy poparciu społecznym w granicach 8 procent. Uzasadnienie wyroku napisane jest językiem spizowym, beznamiętnym, odzwierciedlającym punkt widzenia religijnych fundamentalistów. Dla nich podmiotowość kobiety nie istnieje wcale, jej cierpienie jest bez znaczenia. Jedynym przedmiotem zainteresowania jest płód, utożsamiony z człowiekiem, przeciwstawiony kobiecie, która ma go wydać na świat, i obdarzony pełnią praw, z pominięciem może prawa do godnej śmierci. Ochrona świętości „życia” w oczywisty sposób wymaga pozbawienia kobiet prawa do samostanowienia. Dezynwoltura, z jaką TK dochodzi do tego wniosku, jest szokująca nawet dla mnie, która tego rodzaju retorykę badam od lat. „Wszak nawet pozbawione wątpliwości stwierdzenie ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu nie oznacza, że dotknięty nimi człowiek nie będzie mógł korzystać w pełni z praw i wolności gwarantowanych konstytucyjnie w postnatalnej fazie życia” – czytamy w *Uzasadnieniu wyroku* i przecieram ze zdumienia oczy. Oto przemówiła do nas naga władza. Prawodawca widzi człowieka posiadającego pełnię konstytucyjnych praw w nieodwracalnie

upośledzonym płodzie, nie dostrzegając nawet istnienia kobiety, w której ciele ten płód się rozwija.

A teraz powiem coś, co może was zdziwić, a nawet oburzyć. Nie o płody i nie o kobiety tu chodzi. Chodzi o władzę, o prawo do decydowania o zbiorowej tożsamości Polaków i o miejscu Polski w świecie. Ten wyrok i język, którym napisano uzasadnienie, ostatecznie i jednoznacznie wypisuje nasz kraj z kręgu współczesnej cywilizacji europejskiej – i moim zdaniem taki właśnie był zamysł. Oto piętnaście lat po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej nacjonalistyczna prawica we współpracy z religijnymi fundamentalistami deklaruje naszą głęboką wrogość i obcość wobec Unii. Jest to logiczna konsekwencja postawy, którą nacjonalistyczna prawica prezentuje od początku transformacji – Polska ma być katolicka, Europa jest dla tego projektu wrogiem i zagrożeniem. Jeśli nie powstrzymamy tej władzy, to kolejnym krokiem będzie wyjście Polski z Unii. Kobiety i mniejszości seksualne od początku były w tej układance pionkami, czy raczej zakładniczkami, bo w dyskursie narodowym taka właśnie jest rola kobiet – są one zaledwie nosicielkami narodowej substancji. A mniejszości seksualne? Cóż, one w ogóle do tak pojętego narodu nie należą. To obcy, odmienicy, wysłannicy wrogiego świata.

Mechanizm ten opisałam w wydanej w 2008 roku książce *Rykoszetem*, ale pisząc eseje zawarte w *Świecie bez kobiet*, jeszcze tej logiki nie rozumiałam. Przeczuwałam jej istnienie, owszem, ale nie rozumiałam jej nieubłaganej siły. Paradoksalnie moja ówczesna niewiedza stanowi o uroku tej książki. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku najzupełniej poważnie zastanawiałam się, dlaczego tak trudno w demokratycznej Polsce rozmawia się o prawach kobiet. Dlaczego w kraju, który – jak wciąż powtarzano – „gonił” Zachód i „wracał” do Europy, tak trudno się przebić w debacie publicznej z oczywistym na tymże

Zachodzie postulatem równości płci? Dlaczego tak łatwo go wyśmiać, odłożyć na później, unieważnić, przykryć inną, rzekomo ważniejszą, bo ogólnoludzką lub ogólnonarodową sprawą? Krążyłam wokół możliwych odpowiedzi. Tropiłam logikę polskiego konserwatyizmu, brałam pod lupę frazesy o „szczególnej roli Matki Polki”, „obronie życia poczętego” i „kobiecy geniuszu”.

Fascynował mnie też polski niby-liberalizm, uparcie ślepy i głuchy na wszystko, co ma związek z płcią. Zajął się on wprowadzaniem zasad wolnego rynku, ale sferę wartości – przede wszystkim zaś ludzką seksualność – oddał we władanie Kościołowi. Na pytanie o prawa kobiet odpowiadał z uporem maniaka: „wszyscy jesteśmy ludźmi”. Jeśli zapraszał do studia telewizyjnego feministkę, to zawsze, dla równowagi, w zestawie z mizoginem. Patriarchalne odruchy, powiedzonka, obrazki. Patriarchalne nawyki, rytuały, opowieści. Tropiłam je w mediach, ale też obserwowałam znajomych, podsłuchiwałam rozmowy na ulicy. Seksizm po polsku był dla mnie zjawiskiem zdumiewającym i arcyciekawym. Doprowadzał mnie do szału, ale też fascynował i bawił. Widziałam go z ostrością, której dziś nie potrafię przywołać, bo wynikała w znacznym stopniu z wieloletniego oddalenia. W połowie lat dziewięćdziesiątych wróciłam do Polski po długim pobycie w USA, może dlatego zdumiewały mnie zjawiska dla innych zwyczajne, przezrocyste. Szczerze mówiąc, zazdroszczę ówczesnej sobie tych zdziwień. W zdziwieniu jest nadzieja na zmianę, której dziś nie potrafię z siebie wykrzesać.

Polski patriariat, który opisałam w tej książce, miał dwa kluczowe składniki: obłudę i paternalizm. Niemal całkowitej marginalizacji kobiet w życiu publicznym towarzyszyły nieustanne deklaracje szacunku i podziwu dla pań. Oznaki otwartej mizoginii były rzadkie – celował w nich Janusz Korwin-Mikke, ale miał on wtedy status dziwaka. Dziś jest tego więcej;

nienawiść i pogarda dla kobiet nie są w sferze publicznej niczym nadzwyczajnym. Ktoś powie, że to wynik brutalizacji życia publicznego, politycznej polaryzacji, wpływu mediów społecznościowych. Tak, to wszystko prawda, ale otwarta mizoginia stanowi też odpowiedź patriarchalnej kultury na kobiecy bunt. Seksizm podtrzymuje *status quo*, unieważnia i uniemożliwia bunt. Mizoginia – otwarcie wyrażana wrogość i pogarda – to przejaw męskiego gniewu, wściekła reakcja na utratę dawnej pozycji, próba przywołania zbuntowanych kobiet do porządku. Ówczesny seksizm był szarmancko-obłudny, bo był pewny swego. Rzadko napotykał opór. Zamiast prowadzić z kobietami wojnę, dawano do zrozumienia, że jesteśmy urocze i przeza-bawne. Zanim jeszcze udało się coś powiedzieć, już byłyśmy spychane w strefę niepowagi. Te czasy bezpowrotnie minęły. Czy wyobrażacie sobie, że jakiś konserwatywny polityk czy publicysta próbuje publicznie „całować rączki” Marty Lempart?

Technik uciszania i unieważniania kobiecej sprawy było wiele, a ja tropiłam je i kolekcjonowałam. Banalne uprzejmości i protekcyjne żarciki. Opowieści o szczególnej roli kobiet i naturalnej różnicy płci. Komplementy z podtekstem i dowcipy o blondynkach. Wszystko po to, by nie dopuścić do rzeczowej debaty o systemowych nierównościach, odebranych kobietom prawach reprodukcyjnych, o przemoc w rodzinie, o dyskryminacji płacowej, o braku reprezentacji w polityce. Ciekawe, że wiele z tych strategii zupełnie już dziś nie działa. Budzą irytację, zażenowanie i śmiech. Ich siła rażenia topniała, w miarę jak budziła się w Polsce feministyczna świadomość. Budowały ją Manify, potem dołączyła Partia Kobiet i Kongres Kobiet, tworzyły ją mozolnie organizacje kobiece, dokładały swoje cegielki feministyczne autorki, naukowczynie, artystki, dziennikarki. Obserwowałam, jak zmienia się stosunek do tej tematyki wśród moich studentów i studentek. Jednak paternalistyczno-obłudny

czar polskiego seksizmu przysł ostatecznie w 2016 roku, gdy pojawił się masowy ruch kobiety. Po Czarnym Poniedziałku nie było już cmok-nonsensu. Uczestniczki obecnej fali protestów nazwały paternalistyczne sposoby uciszania kobiet dosadnie: „dziaderstwem”.

Cel tej książki był prosty – opisać dziwaczność patriarchalnej gry, uchwycić jej groteskowość. Publicznie się zdziwić i skłonić do zdziwienia innych. Jak to możliwe, że zapomniano o kobietach „Solidarności”, o potężnym wkładzie kobiet w walkę o wolną Polskę? Czy naprawdę nikt nie zauważył, że w debacie o prawie kobiet do przerywania ciąży nie pada słowo „kobieta”? Dlaczego do kandydatki na prezydenta RP wszyscy wokół mówią protekcyjnie „Pani Haniu” i dlaczego ona się na to godzi z pogodnym uśmiechem? I jak to jest, że czołowym politykom w moim kraju, także lewicowym, uchodzą na sucho zenujące seksistowskie żarty?

Z obecnej perspektywy dziwić może jednak coś innego – pominięcie przeze mnie wielu kluczowych tematów. Nie ma w *Świecie bez kobiet* tekstu o przemocy w rodzinie, pada zaledwie kilka zdań o macierzyństwie, nie poruszam tematu przemocy seksualnej – gwałtu i molestowania, niemal nie dotykam kwestii biedy, nierówności ekonomicznych i ich związku z patriarchalną kulturą. Nie będę ściemniać – dwie dekady temu napisałam książkę feministyczną nie o kobietach, lecz o ich braku w polskiej debacie publicznej. Pisałam z perspektywy wielkomiejskiej inteligentki zadziwionej skalą seksizmu w Polsce, zaniepokojonej o przyszłość demokracji i zafascynowanej amerykańską teorią feministyczną. Nie miałam lewicowej wrażliwości, mało kto ją wtedy w Polsce miał. Nie byłam zażożna – biedowałam na studiach doktoranckich, dorabiając do stypendium jako nauczycielka angielskiego – ale uważałam się za liberalkę i w gruncie rzeczy nie miałam błędnego pojęcia

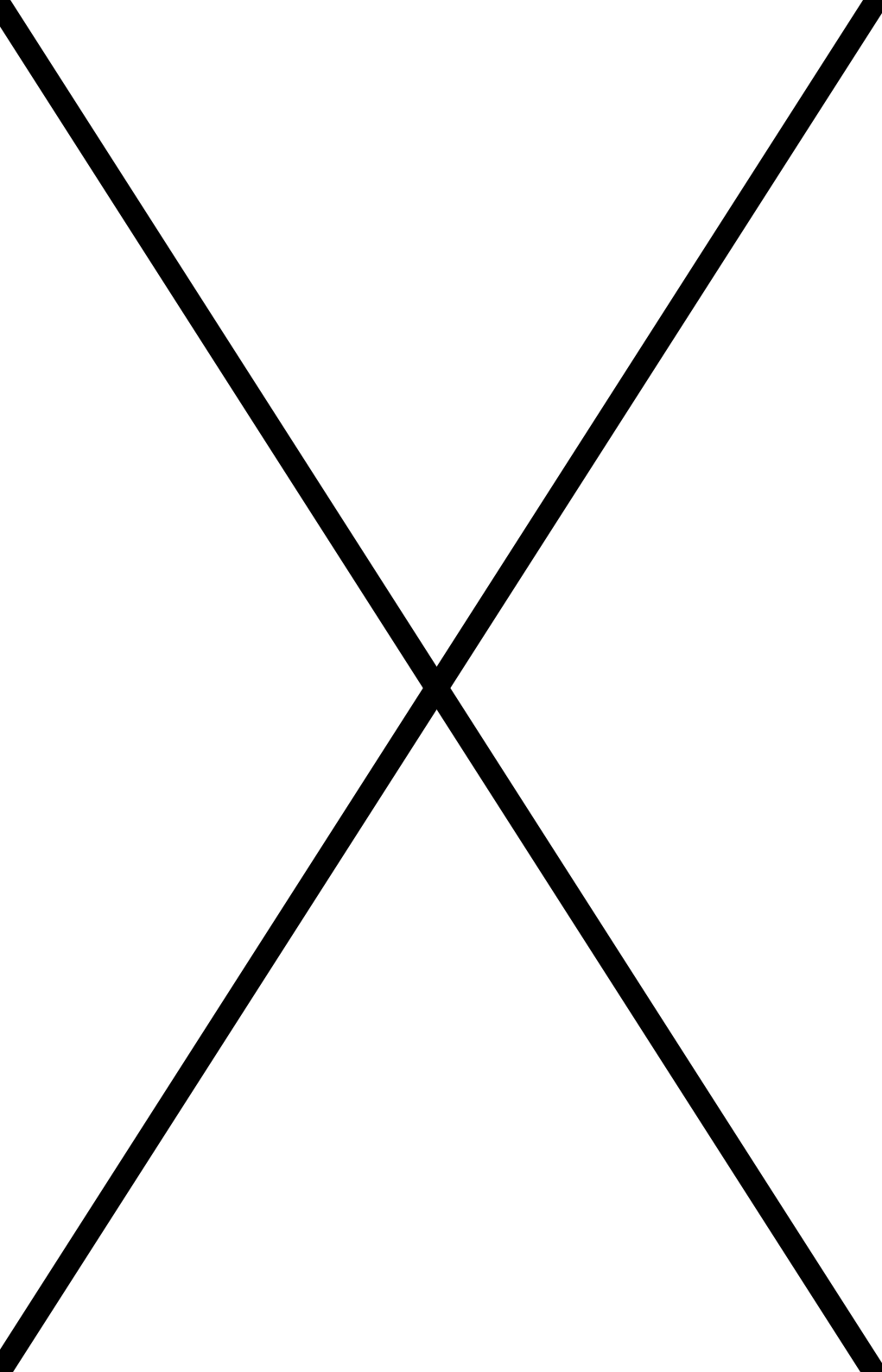
o ekonomicznym wymiarze polskiej transformacji. Od kwestii ekonomicznych bardziej ciekawił mnie język, kultura, obyczajowość. Nie ma też w *Świecie bez kobiet* wiele o mniejszościach seksualnych. Prawie nikt o nich wtedy nie mówił, kampania „Niech nas zobaczą” była dopiero przed nami. Rozdział o *Orlandzie* Virginii Woolf stanowił próbę przełamania tabu – w gruncie rzeczy jest to poetycki esej o lesbijskim pożądaniu przebrany za analizę powieści – ale z dzisiejszej perspektywy może się wydać zadziwiająco ostrożny i oderwany od polskich realiów. I wreszcie ostatnie pominięcie – przyznam, że dziwi mnie ono niezmiernie – z wyjątkiem rozdziału o aborcji w *Świecie bez kobiet* nie ma zbyt wiele o Kościele. Dlaczego? Podejrzewam, że zadziałała półświadoma autocenzura. Owszem, chciałam zakwestionować z pozycji feministycznych wszechwładzę Kościoła... ale też miałam nadzieję przekonać do feminizmu rzesze polskich katoliczek, ośmielić je do reformowania Kościoła od środka. O naiwna, naiwna, naiwna – chciałabym dziś powiedzieć ówczesnej sobie. Katoliczki, owszem, masowo przyłączyły się w ostatnich latach do kobiecych protestów, jednak Kościół okazał się zasadniczo niereformowalny. Tę ostatnią lukę uznałam za niewybaczalną – dlatego uzupełniam tom o teksty napisane w późniejszych latach, teksty, w których już nie ma autocenzury. W gruncie rzeczy wszystkie one dotyczą władzy Kościoła w Polsce i buntu kobiet, które przestały się na nią godzić.

Podobno uczestniczki aktywistycznych forów internetowych od czasu do czasu polecają sobie moją książkę jako lekturę, od której warto rozpocząć przygodę z feminizmem. Niedawno jej fragment trafił też do licealnego podręcznika do języka polskiego – w zestawie z Elizą Orzeszkową, co niepomiernie mnie wzruszyło, bo pamiętam siebie jako licealistkę z przejściem czytającą powieść *Marta*. Czy *Świat bez kobiet* przetrwał próbę

czasu? Podejrzewam, że dotknęłam w tych tekstach czegoś, co nie przestaje być aktualne: kobiecej niezgody na patriariat, kobiecego zdumienia, że coś takiego jak męska władza nad naszym życiem jest w ogóle możliwe. Pozwoliłam tej niezgodzie i temu zdumieniu wybrzmieć publicznie. Wielokrotnie potem słyszałam, że „włożyłam kij w mrowisko” albo „wsadziłam stopę w drzwi”. Napisałam od tego czasu kilka innych książek i wiele tekstów, ale chyba nie zdarzyło mi się już nic na miarę *Patriarchatu po Seksmisji*.

Oddaję w wasze ręce *Świat bez kobiet* bez retuszy i udoskonaleń, chociaż w kilku miejscach nie mogłam się oprzeć pokusie, by dodać uwagę w przypisie. Gdybym jednak zaczęła gruntownie uaktualniać, zmieniać i dopisywać, musiałabym tę książkę napisać na nowo i zupełnie inaczej. Bywa zaskakująco aktualna, to prawda, ale pozostaje dzieckiem swojej epoki. Nowe wydanie jest jednak poszerzone w sposób znaczący. Opowieść rozpoczęta w *Patriarchacie po Seksmisji* ma swoją kontynuację w pochodzącym z tomu *Rykoszetem* eseju *Nasze świętości, cudze zboczenia* (tu próbuję rozgryźć seksualne obsesje narodowej prawicy) i w *Magmie* (o szczególnej roli Kościoła w Polsce), w niepublikowanym dotychczas po polsku tekście *Nie jesteś sama* (o Czarnych Protestach i towarzyszącej im eksplozji feministycznej twórczości artystycznej) i wreszcie w artykule pod tytułem *Coś pękło, coś się wylało* opublikowanym na portalu OKO.press podczas pierwszej fali protestów po wyroku TK w sprawie aborcji – o przebudzeniu młodego pokolenia, o końcu układu politycznego, którego logikę tropię w *Świecie bez kobiet*. Nie ma tu, rzecz jasna, ciągłości narracyjnej, ale między *Patriarchatem po Seksmisji* a *Coś pękło, coś się wylało* dokonało się pewne domknięcie. Czytane razem, teksty te układają się w szczególną opowieść o Polsce po 1989, opowieść, w której liberalne elity oddały władzę nad kobietami Kościołowi, ten

zaś zdradził demokrację, oddając władzę nad Polską populistycznej prawicy. Niewesoła to historia, ale jest w niej jeden element, który może budzić nadzieję – bunt. Na ulice wyszło właśnie nowe pokolenie kobiet i mężczyzn, które nie godzi się na ów zgniły i przebrzmiały układ. Mam nadzieję, że to nowe, mocno poszerzone wydanie *Świata bez kobiet* okaże się dla was wsparciem, a przynajmniej dostarczy rozrywki.





Świat bez kobiet?

„Ty chyba jesteś wojującą feministką” – to zdanie usłyszałam po raz pierwszy, mając siedemnaście lat, podczas imprezy towarzyskiej gdzieś na warszawskim Ursynowie. Toczyliśmy właśnie zażartą dyskusję o tym, jak zamierzamy zbawić świat (czyli obalić komunę) oraz co w tym zbawionym świecie (czyli demokracji) zamierzamy robić. Był rok 1987, o Okrągłym Stole nikomu się jeszcze nie śniło, my jednak wiedzieliśmy, że czerwone imperium zła musi w końcu runąć. Ktoś miał ulotki, ktoś przyniósł gazetkę, ktoś inny – tanie wino. Dobrze jest być po stronie dobra, kiedy ma się kilkanaście lat, wspaniałych przyjaciół i czarną (zdobyczną!) bluzkę z Hofflandu. I może dlatego, że było mi tak dobrze, zagalopowałam się trochę w swojej wizji równości, wolności i samorealizacji po komunizmie. Zdziwiło mnie słowo na „f”. Nie znałam żadnych feministek, zwłaszcza wojujących, ale sama nazwa miała w sobie coś groteskowego. Nie pasowała do mnie. Sugerowała pretensje do całego świata, zwłaszcza do mężczyzn, a ja chłopców lubiłam, i to bardzo. Szczerze mówiąc, wydawali mi się ciekawszy od moich rówieśnic. Mieli wyraziste poglądy, popisywali się, wciąż o coś spierali. No i tak jak ja chcieli zbawić świat. Więc za co taka obelga? Upokorzenie pokryłam milczeniem. A może żartem?

Nie pamiętam. Wspomnienie wróciło po latach, kiedy w kobiecym gronie snułyśmy opowieści o „tym pierwszym razie”: jedną z nas nazwano feministką jeszcze w dzieciństwie, kiedy odmówiła prania skarpetek swoim braciom, inną, gdy w podstawówce marzyła o grze w piłkę nożną, jeszcze inną, gdy zwierzyła się matce, że nie zamierza zakładać rodziny, dopóki nie skończy studiów. Straszne słowo na „f” pojawiało się jak znak „stop” – ostrzeżenie dla grzecznych dziewczynek, że posunęły się o krok za daleko.

Rok później wyjechałam na studia do Stanów. Oprócz klasyków filozofii i literatury angielskiej czytywałam napisy na ławkach oraz na ścianach damskich ubikacji. Prowadzone tam debaty często przybierały formę dialogów. Na przykład: „Czy feminizm umarł?”, „A czy nowym prezydentem USA będzie kobieta?”. Albo: „Czy mogę być feministką i się malować?”, „Możesz, złotko, możesz, rzecz w tym, że nie musisz!”. Albo: „Co feministki mają do zaoferowania mężczyznom?”, „A co abolicjonści dali białym?”. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych amerykański feminizm przeżywał kryzys, był jednak żywym prądem kultury, zarówno akademickiej, jak i popularnej, tej, w której uczestniczy się poza biblioteką. Słowo na „f” nie stanowiło obelgi. Oznaczało uczestnictwo w nieustających dyskusjach: o miejscu kobiet w polityce, literaturze, sztuce; o pornografii, mediach, reklamie, uprzedzeniach rasowych, granicach między flirtem a przemocą, o stosunku do własnego ciała. Kiedy otarłam się o amerykański feminizm, zniknęło już ekstatyczne poczucie wspólnoty kobiet ponad podziałami klasowymi czy etnicznymi, owa fascynacja „siostrzeństwem”, która dwie dekady wcześniej towarzyszyła drugiej fali ruchu kobiecego. Feminizmów było wiele, niemal tyle co feministek. I tak jak ich matki w latach sześćdziesiątych zwykły mówić „nie jestem feministką, ale...”, tak moje

koleżanki ze studiów często mawiały „jestem feministką, ale...”, po czym następował katalog uściśleń, rozróżnień i wątpliwości. W Amherst ukazywały się dwa pisma feministyczne, które zażarcie ze sobą dyskutowały, organizowano debaty, wieczorki poetyckie, kobiece wyprawy do lasu i biegi na przełaj. Działała też kawiarenka Głodna Jaszczurka, prowadzona przez kilka feministek, znana z najbardziej czekoladowych ciastek na Wschodnim Wybrzeżu.

Jak się zostaje feministką? Każda opowieść jest inna, a moja nie ma wyraźnego początku. Nikt mnie nie „indoktrynował”, nie odczułam też „terroru politycznej poprawności”, o którym tyle się w Polsce słyszy. Po prostu znalazłam się w kulturze, przez którą dwadzieścia lat wcześniej przetoczyła się fala ruchu kobiecego, zostawiając w potocznej świadomości trwałe ślady, odsłaniając absurd wielu „odwiecznych prawd” o tym, co męskie, a co kobiece. Być może feminizm dopadł mnie podczas jakiejś studenckiej imprezy, gdy zagalopowałam się w dyskusji i nikt nie miał mi tego za złe. Mogło się to też stać podczas zajęć, kiedy zdziwiło mnie moje własne zdziwienie, że jest coś takiego jak „historia kobiet”. Bo „moment feministyczny” to często spotkanie z własnymi uprzedzeniami. Pamiętam dziwną ulgę, że o „literaturze kobiecej” można mówić poważnie i mądrze, bez zgryźliwych uwag. Stopniowe „zarażenie” trwało niecały rok – w kwietniu 1989 roku znalazłam się w Waszyngtonie, w półmilionowym tłumie kobiet i mężczyzn protestujących przeciw próbom ograniczenia prawa do aborcji. Czułam, że uczestniczę w czymś ważnym, ale nie wiedziałam, że są to narodziny nowej fali ruchu kobiecego. Nie miałam też pojęcia, że za kilka miesięcy, wkrótce po obaleniu „imperium zła”, prawo do aborcji zostanie zakwestionowane w Polsce, a mój własny podział na „nas” i „onych” paskudnie się skomplikuje.

Nieco później, pracując w bibliotece uniwersyteckiej, trafiłam przypadkiem na *Własny pokój* Virginii Woolf, a w nim na taki fragment:

Od wielu wieków kobiety służą mężczyznom za zwierciadła, posiadające tę magiczną i bardzo użyteczną moc, że odbijają postać męską w co najmniej dwukrotnym powiększeniu. [...] Wyjaśnia to, przynajmniej częściowo, dlaczego kobiety są mężczyznom tak bardzo niezbędne.¹

Esej Woolf powstał w Anglii w 1929 roku, był jednak niepokojąco aktualny. Uwagi o zwierciadle przypomniały mi atmosferę moich licealnych przyjacieli: ci chłopcy istotnie byli wspaniali, ale ich wspaniałość wymagała wzmocnienia, odbicia w oczach dziewczyn. Z podziwem, wstrzymując oddech, słuchaliśmy ich błyskotliwych wywodów, wierząc, że zbawianie świata to męskie zajęcie. Byłam w roli lustra naprawdę znakomita, pragnęłam jednak innej wersji spełnienia. Czy trzeba było przelecieć nad Atlantykiem, żeby to zobaczyć?

Wróciłam po sześciu latach, gnana tęsknotą za swojskością i poczuciem, że coś mi umyka, że spóźniam się na polską wolność i polski kapitalizm. Po pierwszych chwilach euforii – prawdziwe gazety! prawdziwe pieniądze! prawdziwe wybory! – wytęskniona polska swojskość wydała mi się dziwnie obca i nieco groteskowa. Zdumiewał mnie konformizm mojego pokolenia (pokolenia buntowników!), który ateistom kazał brać ślubu kościelne i wysyłać dzieci na religię. Z niedowierzaniem obserwowałam wczesne małżeństwa moich przyjaciółek, które odgrywały teraz rolę lustra z pełną dorosłości powagą, udając na przykład, że zarabiają mniej niż ich mężowie, kiedy w rzeczywistości utrzymywały rodzinę. Nie rozumiałam nagłych zmian w zachowaniu i tonie głosu kobiet, które rozmawiały ze sobą swobodnie aż do

chwili, gdy do pokoju wchodził mężczyzna. Dziwiły mnie dowcipy o blondynkach i powaga, z jaką inteligentni skądinąd ludzie powoływali się na stereotypy o „naturalnej różnicy płci”. Przede wszystkim jednak rzucało mi się w oczy coś, czego nikt zdawał się nie dostrzegać – że ta młoda polska demokracja jest światem bez kobiet. I proszę – Czytelniczko i Czytelniku – nie przywołujcie teraz listy Suchocka-Labuda-Smreczyńska-Waniek-Sierakowska-i-jeszcze-dwie-czy-trzy kobiety, bo sam fakt, że potrafimy je tak szybko wymienić, wskazuje, że jest ich mało. Poza tym nie chodzi mi tylko o (nie)obecność kobiet w świecie władzy, lecz o to, jaką wagę w polskim życiu publicznym przypisuje się kwestii kobiecej. Odpowiedź brzmi – niemal żadnej. Podobnie jak kobiecych czasopism i babskich pogaduszek, problemów kobiet jako grupy społecznej po prostu z założenia nie traktuje się w Polsce serio. Nie ma publicznej debaty o dyskryminacji i skutkach ustawy antyaborcyjnej; na hasło „parytet” politycy i dziennikarze sypią jak z rękawa głupimi dowcipami. Panuje powszechne przekonanie, że na wolnym „rynku idei” nie było i nie ma na ten temat popytu.

Spojrzenie feministyczne zawsze jest spojrzeniem obcego, spojrzeniem cudzoziemca w krainie patriarchy. Pisząc zebrane w tej książce teksty, starałam się zachować obcość podwójną: z perspektywy gościa opisywać feminizm amerykański, a do polskiej rzeczywistości podchodzić nieco z boku, jak ktoś, kto wraca po kilku latach i chociaż jest już u siebie, to nie może się do końca zadomowić. Patrząc na własną kulturę z takiej właśnie perspektywy, można dostrzec brak, usłyszeć to, co przemilczane. Polski tradycjonalizm sprawia, że braku kobiet nie widać, a nieważność kwestii kobiecej staje się oczywistością. Sądzę, że feminizm jest w polskim języku publicznym potrzebny – nie jako odpowiedź, lecz jako język, w którym pewne pytania w ogóle da się postawić, jako perspektywa, z której widać kobiety.

Rebecca West napisała kiedyś: „Ja sama nigdy dobrze nie wiedziałam, czym jest feminizm. Wiedziałam tylko, że ludzie nazywali mnie feministką wtedy, gdy wyrażałam uczucia, które odróżniały mnie od ścierki do podłogi”². Lubię tę definicję za jej przewrotną arogancję i zgodę na własną złość, jednak bardziej odpowiada mi ta, którą w książce *Backlash* (książka ukazała się w Polsce pod tytułem *Reakcja*) zapisała Susan Faludi:

Feminizm domaga się, by świat uznał nareszcie, że kobiety nie są ozdobami, cennymi naczyniami, członkiniami szczególnej „grupy interesu”. Stanowią połowę (a tak naprawdę – ponad połowę) społeczeństwa i powinny mieć takie same prawa i możliwości jak jego druga połowa [...]. Feministyczny projekt dotyczy rzeczy podstawowych: chodzi o to, by kobiety nie były zmuszone „wybierać” między publiczną sprawiedliwością a prywatnym szczęściem. A także o to, by miały prawo do samookreślenia, by ich tożsamość nie była wciąż definiowana przez kulturę ani przez mężczyzn.³

Tylko tyle i aż tyle. Współczesny feminizm odróżnia od wcześniejszych jego etapów poczucie oczywistości praw kobiet. Sufrażystki wyjaśniały zawile, że prawo głosu dla kobiet nie zagrozi mężczyznom, a matkom i żonom nie przeszkodzi w odgrywaniu „kobiecych ról”. Feministki z lat siedemdziesiątych miały poczucie, że oto odbywa się przełom w kulturze, który te role unicestwi, były pełne oburzenia, nadziei, euforii. Dzisiejsze feministki oraz postfeministki witają przejawy seksizmu – w życiu publicznym i prywatnym – z ironią i zdziwieniem, jako absurd, pozostałość minionej epoki. Może za wcześniej uznaliśmy przełom za dokonany, a prawa kobiet za coś, co nam się po prostu należy? W ciągu ostatnich kilku lat przekonałam się, że to poczucie oczywistości jest przedwczesne, zwłaszcza w Polsce.

Wspaniale, że kolejne wydanie *Świata bez kobiet*, jednej z najważniejszych książek polskiego feminizmu, ukazuje się, kiedy przez kraj przetaczają się protesty i manifestacje przeciwko zakazowi aborcji i religijnemu fundamentalizmowi. Ten świetny zbiór esejów dokumentuje najnowszą historię Polski od 1989 roku z perspektywy feministycznej i snuje opowieść, w której oddano władzę nad kobietami Kościołowi, ten zaś zdradził demokrację, przekazując władzę nad Polską populistycznej prawicy.

OLGA TOKARCZUK

Ostatnie lata przyniosły apogeum procesu, który Agnieszka Graff diagnozowała dwadzieścia lat temu. Po 1989 roku budowano nad Wisłą demokrację, ale z pominięciem kobiet. Niemal całkowity zakaz aborcji wprowadzony w 1993 roku, nazywany „kompromisem”, miał ów porządek społeczny stabilizować. W sferze publicznej seksizm był niczym powietrze – powszechny, oczywisty, niezauważalny.

Dziś feminizm jest zjawiskiem masowym. Z narastającego przez lata gniewu zrodził się potężny ruch zdolny wyprowadzić na ulice setki tysięcy osób. Po drugiej stronie barykady znajduje się antyfeminizm – podszyty nacjonalizmem, zawsze w zestawie z homofobią – nazywany też „walką z ideologią gender”. W imię obrony Polski przed zgniłym Zachodem PiS pod rękę z Ordo Iuris i Kościołem niszczy demokrację i pozbawia Polki resztek praw. *Świat bez kobiet* – uzupełniony o kilka późniejszych tekstów – pozwala zrozumieć, jak to się stało.

Graff unika pouczeń. Daje narzędzia i pokazuje, jak jest.

**KUP
TERAZ!**

cena 12,90 zł

MATRONA



Centrum
Praw
Kobiet



lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

